



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Wigwam indyjski.

MIESZKANIA PIERWOTNYCH LUDÓW.

przez HENRYKA WERNICA.

I.

Jeden z najbardziej ciekawych działów, w bieżącym roku na wystawie paryskiej stanowi obszerna przestrzeń, na której wznoszą się pojedyncze budynki i całe ulice, jakoby przeniesione z odległych epok i dalekich krajów. Dział ten ściąga do siebie tłumy widzów, o nim też obszerniej pomówić

zamierzamy. Zanim wszakże przystąpimy do tego przeglądu, musimy cofnąć się jeszcze w dawniejszą epokę i przedstawić sobie w krótkości dzieje mieszkań odleglejszej jeszcze przeszłości, aby poznać od ilu to wysiłków, jakiej pracy i trudu zależy postęp cywilizacji.

Za pierwotne mieszkania służyły najpierw ludziom pieczary, to jest zagłębienia skał, zabezpieczające od wiatru, śniegu i w ogóle niepogody; wreszcie rozłożyste drzewa, pod którymi się jako tako schronić było można, a także mieszkania na drzewach, z jakich według sprawozdań podróżnych, korzysta dziś jeszcze plemię Bathes na Sumatrze, Kanigarowie w południowych Indjach, wreszcie mieszkańcy wysp Fidży.

Prawdopodobnie znaczny musiał przeminać okres czasu, zanim rozmnożeni ludzie zaczęli myśleć o kopaniu sztucznych jam. Kamczadałowie do dnia dzisiejszego kopią podobne doły, do których wchodzą po drabinie przez otwór służący jednocześnie za drzwi, okno i komin. Ślady podobnych jam znajdujemy i w naszym kraju, a lochy, piwnice i tak zwane ziemianki, to jest obszerne doły zaopatrzone dachem i wchodowymi drzwiami, są wyraźnym świadectwem mieszkań, jakie dawniej powszechnie urządzano...

Nie wszystkim wszakże ludziom podobały się te ciemne i tak niewygodne nory; nie chcieli mieszkać w łonie ziemi i poczęli sobie budować schronienie na jej powierzchni.

Któż nie zna prostych szałasów jakie mają podczas lata stróże ogrodowi, pilnujący aby im w nocy nieproszeni goście nie obrywali z drzew owoców? Służą one za schronienia przed

zimnem i deszczem. Podobne szałasby budują do dziś dnia ludy dzikie. Jest to najpierwotniejszy kształt mieszkań ludzkich, budują je z grubych gałęzi drzew utkwionych w ziemi, które wierzchołkami połączone ze sobą, stanowią z obu stron pochylność tworzącą dach. Takie szałasby zwane wigwamami służą do dnia dzisiejszego za mieszkania dzikim Indyanom w północnej Ameryce. Niektóre ludy jak Patagończykowie, dla większej ochrony od zimna pokrywają je zewnątrz mchem i trawą, a Australzykowie budują je z pewnem już ulepszeniem; u spodu ubijają ziemię tak, iżby woda deszczowa nie mogła wpływać do wnętrza, a nadto nadają im kształt półokrągły. Najbardziej do Australijskich wigwamów zbliżają się szałasby Hotentotów, które również są półokrągłego kształtu.

Pewną wyższością od wymienionych odznaczają się wigwamy krajowców, przebywających nad rzeką Orinoko w południowej Ameryce. Nie spoczywają one już na samej ziemi, lecz na słupach połączonych ze sobą poprzecznymi belkami, które służą do zawieszania hamaków.

W wielu krajach pierwotna postać szałasby uległa pewnej zmianie, tak np. na Archipelagu położonym w pobliżu Nowej Gwinei, szałasby przybierają postać skorup szyldkretowych, przewróconych czołem lub wielkich grzybów, unoszonych na czterech palach. W innych znów okolicach (na wyspach Gongo i Samoa), krajowcy zasłaniają przedziały pomiędzy słupami matami z łyka drzewnego. Wyraźniejsze ślady ścian spotykamy na wyspach Sundzkich; na nich szałasby mają postać stożkowatą. Dach opiera się tu nie jedynie na ścianach, lecz i na słupie stojącym w środku budowli. Najwięcej tego rodzaju szałasów znajdujemy w środkowej Afryce, a najoryginalniejsze buduje plemię Dinka. Dach tych budowli spoczywa na całym rozłożystem drzewie. Takie stożkowate szałasby napotykaemy w całej środkowej Afryce, w pasie idącym od górnego Nilu do granic Caplandu.

Najbardziej podobne postacią do pierwotnych szałasów są namioty ludów koczujących. Beduini mieszkający w Arabii i plemiona zajmujące północną część Sahary, robią namioty z rozmaitych tkanin; inne zaś plemiona, jak Ostyakowie zamieszkujący zimne okolice Syberyi, wnoszą je ze skór zwierzęcych, po największej części wołowych. Mongołowie używają w tym celu grubych materyi filcowych, utkanych z sierści wielbłądziej i zowią je urta. Takie same namioty ze skór zwierzęcych, służą Lapończykom i wszystkim ludom koczującym w północnej Syberyi i Ameryce, aż do 35-go stopnia szerokości północnej. Indyanie budują takie same ze skór bawolich, jak Lapończykowie z reniferów.

U niektórych plemion Indyan w północnej Ameryce, namioty są nieraz tak obszerne, że kilka a nawet kilkanaście rodzin wygodnie pomieścić mogą. Każda rodzina w oddzielnym mieszka przedziale.

(d. c. n.)

PSIEJDA

czyli:

Historya Azora, który,
W rozpaczcy tonął ponurój.

II.

Różne bywają cierpienia na świecie,
Ale ze szyskkich najsrozzszem jest pono
Cierpienie serca, jak to chyba wiecie,
Kiedy szlachetny ten organ zraniono;

O tem znów także wie każde już dziecie
Ze dwa znaczenia są pod tą osłoną:
Jedno fizyczne, a drugie moralne
Srozzsze częstokroć, chociaż idealne.

* * *

W pierwszym znaczeniu, czy to kulką małą,
Czy ostrzem jakim zadraśnięte serce
Krótko choć będzie przynajmiej bolało
Bo śmierć w lot zgasi ból z życiem w iskiecce...
Ale gdy serce od ciosu zadrgało
Jakim bez żelaztw ranią przeniwierce,
Od niewdzięczności, zniewagi, lub wzgardy...
Ciężej bo dłużej boleje duch hardy.

* * *

Takim to bólem okrutnym szarpany
Azor pies dzielny znieważon kagańcem,
Oburzon na swe panięta i pany,
Najprzód z rozpaczcy mknąc zawrotnym tańcem
Ogon swój własny chce ugryźć, zziajany...
Potem chcąc więzy rwać, sztucznym łamańcem
Stając na głowie koziołki wywija...
Próżno, choć trzeszczy aż głowa i szyja.

* * *

Więc wyczerpany gwałtownością własną
Siadł, i na rozum biorąc położenie
Jął więzy na nos włożone nie ciasno
Łapami zciągać, aż zciągnął rzemienie:
Szczeknął rozkosznie i na kotkę, w jasno
Szarawe z burem przystrojoną cienie,
Już chciał się rzucić, by z wielkiej radości
Nieprzyjaciółce porachować kości.

* * *

A wtem nadbiegli Staś i Zosia z krzykiem,
Z prozbami, łzami, tłómacząc psu znowu
Ze ich zamartwia, obejściem tak dzikiem
Nie chcąc uwierzyć swych przyjaciół słowu,
Jako kaganiec jest właśnie wynikiem
Ich troskliwości, i że bez okowu
Tego na szczękach, schwytyany być może
Przez psiego wroga co czyha na dworze.

* * *

Wśród prób i pieszczot kaganiec na głowę
Psu nieszczęsnemu znów włożyły dzieci;
Lecz awantury i płacze takowe
Gdy się wznowiły raz, drugi i trzeci,
Pan do Azora miał ostrą przemowę,
I nim zmartwienie przezeń na dom zleci,
Aby uniknąć żalu po niewczasie,
Uwiązał psisko za kark przy tarasie.

* * *

Muzo! o! muzo! jeżeliś nie chora,
Bo cię coś u nas nie widziano dawno,
Pomóż mi rozpacz opiewać Azora
Gdy go zniewagą dotknięto tak jawną!
Próżno od rana co dzień do wieczora
Talerzyk przed nim stał z kiełbaską sławną;
Aż, gdy kot do niej się zabrał zuchwale...
Ciąg dalszy będzie w następnym rozdziale.

WAKACYE.

LISTY DWÓCH PENSYONAREK.

Helenka do Jadzi.

Najdrozzsza Jadziu!

Niedawno pożegnałyśmy się, pamiętasz, zaledwie dwa tygodnie temu jadąc każda w swoją stronę ty z mamą do cici na wieś gdzieś aż w Opatowskie pod S-to Krzyzkie góry, ja

dalej jeszcze, bo nad morze pod Gdańsk do Sobot i myślałyśmy obie jakby to było dobrze, gdybyśmy przez wakacje były razem tak, jak rok szkolny spędziłyśmy na jednej ławce. Cóż kiedy tak być nie może. Twoja mama musiała odwiedzić swoją rodzinę, a nas znów doktor wysłał do morza. Chodzi tu głównie o mego małego braciszka Władzia, który ma krzywe nóżki i dobrze się na nich utrzymać nie może, doktor powiedział, że jest to angielska choroba i mówił także, że i mnie i mamie kąpiele morskie bardzo się przydadzą. Dobrze to rzecz wakacje! Pamiętasz jak wdychałyśmy do nich i rachowały ile dni nas jeszcze od nich oddziela a przecież kiedy przyszło żegnać się z koleżankami, z nauczycielkami, osobliwie z dobrą panną Julią naszą damą klasową, płakałyśmy wszystkie. Ach! jak to byłoby smutno, gdyby zawsze były wakacje i gdybyśmy się żegnały bez nadziei zobaczenia się za dwa miesiące.

Tak jak jest, jest bardzo dobrze. Przez te dwa miesiące odpoczniemy, zobaczymy wiele rzeczy ciekawych i znów powrócimy do pracy! ja będę się tak starała żeby dostać chociażby drugą nagrodę. Ty masz tę samą chęć wiem o tem! Pomyśl jakby to było ładnie, gdybyśmy tak na przyszłorocznym popisie gdy wejdzie druga klasa, usłyszały razem nasze nazwiska, a pani X. podniosła się z tym miłym uśmiechem, który oznacza zadowolenie i dawsy nam dwie jednakowe książeczki uściskała serdecznie. A jakby nasze mamy były kontente! Gdyby tak było! to ja bym nie wytrzymała i rozbechała się chyba z radości.

Opowiadałam mamie te moje marzenia. Mama już na-przód uściskała mnie za nie! ale powiedziała: Trzeba teraz myśleć o tem, żeby być zdrową, i sił nabrać, bo jakbyś broń Boże zachorowała, to uczyć się trudno.

Jak tylko stanął projekt jechania do Sobot, bardzo się ucieszyłam. I myślałam sobie: Jak to wygląda to morze, to musi być bardzo straszno się w nim kąpać. Morze widziałam tylko na obrazkach a te wielkie bałwany okryte pianą przejmowały mnie zawsze trwogą. Powiedziałam to mamie, ale mama się ze mnie śmiała i mówiła, że to wcale nie straszne, że kąpiele morskie są bardzo przyjemne. Przyznam ci się, że choć mamie wierzę we wszystko, nie mogłam tego zrozumieć.

Przez drogę do Sobot mniej myślałam o morzu, bo mnie ciągle coś nowego zajmowało. Wyjechaliśmy z Warszawy o 9-tę rano koleją nadwiślańską bo chociaż się ta kolęj brzegów Wisły nie trzyma, to przecież dąży do Gdańska.

Z Wisłą spotkaliśmy się dopiero w Marienburgu, czyli Malborgu, gdzie przejeżdża się jej ramie zwane Nogatem.

Gdy usłyszałam nazwę Malborga zrobiło mi się coś dziwnego, kogóż ona nie poruszy? zaraz przypominałam sobie Wallenroda i ten wiersz:

Z Marienburskiej wieży zadzwoniono,
Działa zagrzmiały, w trąby uderzono,
Dzień uroczysty w krzyżowym zakonie
Zewsząd komtury do stolicy śpieszą,
Kędy zebrani w kapituły gronie,
Wzawawszy ducha Świętego uradzą
Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.

Albo to.

Z Marienburga lud patrzy na drogę.
Już widać zdała, kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych...

Wszystko to stanęło mi w myśli. Jakżebym była chciała zobaczyć zblizka tę wieżę, zamek i całą dawną krzyżacką siedzibę, którą tak pięknie opisał Mickiewicz, ale niestety nie było na to czasu, kto chce jednym dniem stanąć w Gdańsku, nie może się tu zatrzymywać. Miałam ochotę płakać bo słyszałam, że tam w zamku krzyżackim starannie teraz restaurowanym według dawnych wzorów, pokazują wieżę Aldony, a nawet, podobno portret Wallenroda, Niemcy zaś, którzy

słyszeli o poemacie Mickiewicza, opowiadają z gniewem, że wszystko co on napisał, to zmyślenie.

Tymczasem mignął nam się tylko most na Nogacie, podobny do tego, jaki łączy pod Zjazdem Warszawę z Pragą i pędziliśmy dalej przez śliczne zielone doliny żuławskie do Tczewa, który Niemcy przezwali Dirschau, a tu znów przejechaliśmy prawdziwą Wisłę.

Już było zupełnie ciemno, kiedyśmy przyjechali do Gdańska. Mama była bardzo zmęczona bo i na granicy i w Malborgu i w Tczewie zmienia się pociąg, ruch i bieganie, trzeba rzeczy poznosić, szukać posługaczy, których nigdy niema na zawołanie, Wacek był rozespany i płakał. Więc rodzice postanowili tu zanocować, a jutro dopiero pojechać za dnia do Sobot, ażeby sobie wyszukać mieszkania, słyszeliśmy bowiem, że o mieszkanie bardzo trudno, z powodu wielkiego zjazdu.

Przyznam ci się Jadziu, że serce mi było jadąc do hotelu, myślałam sobie że jestem w Gdańsku i że jestem nad morzem, a już nie wiem co mnie więcej zaciekało. Przecież pomimo ciekawości ledwo głowę przytknęłam do poduszki, zapomniałam o wszystkim.

Kiedy się nazajutrz obudziłam czempredzój pobiegłam do okna. Mieszkaliśmy w hotelu na najpierwszej tutejszej ulicy, jak się potem dowiedziałam. Zowie się ona Langgase czyli ulicą Długą, a powinnyby nazywać się szeroką, bo taką jest rzeczywiście. Zaraz na przeciwko zobaczyłam prześliczną fontannę, ratusz i giełdę, to jest miejsce gdzie zbierają się kupcy, a która tutaj nazywa się Artushof. Spytałam się ojca dla czego ten budynek tak się dziwnie nazywa, a ojciec opowiedział mi legendę, o królu Artusie, który był bardzo mądry i dobry i miał wielu rycerzy także mądrych i dobrych. Otóż ten król uważał po chrześcijańsku, że rycerze ci byli mu równi zasługą, męstwem i cnotą, i dla tego obsiadał wraz z nimi stół okrągły, przy którym nie było pierwszego miejsca ale wszyscy byli sobie równi. Wzięli to za wzór, dawni potentaci pieniężni Gdańska, i uważając się za równych, nazwali miejsce swych zebrzań, dworem Artusa.

Mnie jednak daleko mniej obchodzili potężni gdańszczanie niż wspomnienia historyczne, a pomiędzy innymi przypominałam sobie jak to wówczas gdy Marya Ludwika lękała się puścić ciężką *kolebkę*, jak wówczas nazywano powozy po zamarzłej Wiśle, miasto wysłało po nią lekkie sanki w kształcie orła, które ją bezpiecznie do miasta przywoziły. Przypominałam też sobie ów tort olbrzymi dla królowej upieczony, który w bramie miejskiej zmieścić się nie mógł i który jak w bajkach, dwór cały jadł przez niewiem ile dni i zjeść nie był w stanie. Musiał być zrobiony z marcepanu, bo z ich wyrobu słynie Gdańsk, jak Toruń z pierników.

Ach! moja Jadziu jaki ten Gdańsk ładny, stary bo stary, znać to na nim, wszędzie domy wysokie na pięć i sześć pięter, wąskie, bo zaledwie mają po parę okien a jak ich jest cztery lub pięć, to już dom ogromny. Schody wszędzie strome jak drabiny, najczęściej ciemne, a pomimo to kamienica ślicznie wyświeżona. Większa część ulic prowadzi do Motławy, nad jej brzegiem pomost zwany Długim mostem (Lange Brücke) a nad tym pomostem sklepy, z drugiej zaś strony Motławy ciągnie się szereg śpichrzów bardzo wysokich, tutaj to zsypują naszą pszenię i ztąd ładują na okręty do Anglii, to też pełno parowców kursuje po Motławie wchodzącej w samo serce Gdańska ztąd dostaje się na Wisłę i na morze. Widziałam stojących tu mnóstwo okrętów a pomiędzy nimi ojciec pokazywał nam angielskie i duńskie, bo zapomniałam ci powiedzieć, że zanim wyjechaliśmy do Sobot chodziliśmy trochę po Gdańsku.

Są tu niektóre ulice bardzo zabawne. Nie mają wcale chodników, tylko każdy dom ma wystawę wysuniętą do środka ulicy, przez tę wystawę objętą balustradą żelazną, a wyniesioną o kilka schodów nad ulicę, jest jedyne wejście do domu.

Doprawdy nie wiem do czego te wystawy służą, bo niema na nich ławek, nikt tu świeżego powietrza nie używa, ale ja, gdybym miała taki dom, tobym go obsadziła winem dzikim lub bluszczami i urządziłabym sobie letni salonik,

Gdańszczanie tego nie robią, podobno wszyscy prawie zamożniejsi wyjeżdżają na lato nad morze do Sobot, do Neufahrwasser i innych kąpeli po brzegu rozsianych.

Do Neufahrwasser można się dostać parowcem z Długiego mostu, a z tamtąd znów parowce idą do Sobot, ale to dłuższa droga bo koleją można być w Sobotach w pół godziny i my też jechaliśmy koleją.

Zabawna to koleją. Gdańsk jest fortecą, to jest ma różne usypane fosy, wały i wzniesione budynki, które w razie wojny mają bronić miasta od nieprzyjaciela. Otóż schodzi się do jednej z takich fos schodami, tam siada się na kolęj i jedzie długo miastem, a przynajmniej jego przedmieściami niemal do samej Oliwy, z Oliwy zaś w dziesięć minut jesteśmy w Sobotach.

W drodze ojciec pokazał mi morze zdaleka, nigdybym się nie domyśliła, że ta ciemna przestrzeń podobna do oddalonego lasu jest morzem wskazują to tylko rysujące się na nim maszty i liny, bucha dym z kominów przelatujących parowców. Za chwilę jednak lada drzewo lada domek lada krzak to morze zasłania. Domków coraz więcej, przeglądają z poza ogrodów ich jasne mury i oszklone werendy. Otóż stajemy. Soboty! Soboty! Rodzice wysiadają, ja za nimi. Wacek płacze nie wiem czemu Kasia go uspakaja swoim zwyczajem. „Cicho! cicho! widzisz jakie ptaszki”. Rzeczy-

zaraz łopatkę i wiaderko żelazne oraz podrywkę, to jest siatkę na kiju do łapania rybek

Co mi tam jednak po rybkach! wołę kopać, tembardziej że na piasku jest pełno muszelek. Ja tak lubię muszelki, przywożę ich cały zapas i będziemy razem wyklejać pudełka szkoda że niema pomiędzy nimi różności, wszystkie prawie jednakowego kształtu, tylko są większe i mniejsze. Jedna dziewczynka mówiła mi, że znajdują się także nad morzem kawałki bursztynu. Może i ja kiedy taki kawałek znajdę!

Poza piaskami jest pełno pięknych drzew i cienistych ulic, są i ławki, na których siedzą ci, którym nie podoba się siedzenie na piasku, a dalej po lewej ręce wznoszą się góry porośnięte lasami. Na lewo także od kurhauzu o paręset kroków od niego oddalone, są kąpiele dla panów a na prawo dla pań.

Chciałabym ci morze opisać Jadziu, ale niewiem czy potrafię bo ono co chwila inne, czasem zdaje się błękitne jak niebo, czasem zielone, a czasem znów kiedy niebo pochmurne a wicher wieje, to morze jest szaro ołowiane, a tak się rzuca szumi i o brzeg rozbija, że aż dreszcze biorą patrzeć jeśli tam na nim ukaże się jaka łódź, tak ją bałwany podrzucają na wszystkie strony. Kiedy morze wzburzone, to wszędzie po nim ukazuje się biała piana, niby bukiety z białych kwiatów, a fala tak szumi, że przy jej huku trudno rozmawiać.

Ojciec mi mówił, że tu jeszcze nigdy niema takich stra-



Łapami ścigał aż ściągnął rzemienie.

Aż gdy kot do niej zabrał się zuchwale!..

wście ptaszki fruują po pięknej alei prowadzącej od kolei do miasta, ale Kasię słyszy i rozumie kobieta sprzedająca owoce. Śmieje się i dodaje: „Tu śliczne ptaszki, panicz pewno takich nie widział”. Kasia staje uszczęśliwiona.

— A z kądżeście to, pyta, czy od nas? „Dyć ja tutejsza, odpowiada, nas tu dużo”. „Więc wy nie *Miemce* pyta znowu Kasia?” Przekupka się oburza bo ona nie żadna Niemka tylko „katoliczka.” Ludność tutejszą nazywają Kaszubami, ale to czyści Polacy, tylko język mają zepsuty niemczyzną i wiele słów niemieckich mieszają do swojej mowy. Gawędka z przekupką trwałaby długo, ale rodzicom się spieszy, trzeba naprzód znaleźć mieszkanie, potem do woli możemy się po Sobotach rozglądać.

Wyobraź sobie Jadziu, Soboty to jeden ogród, a wśród niego wille większe i mniejsze, to obrócone frontem ku ulicy to gdzieś schowane w zieleni, wszystkie obrosłe dzikim winem, pnąciami różami, wszystkie wyświeżone. Nad morzem wznosi się wielki budynek, zwany kurhausem, przed nim duży dziedziniec z galeryjami krytymi gdzie się chronić można podczas deszczów, bo tu podobno deszcze bardzo często padają. Z dziedzińca tego wchodzi się na długi pomost, rzucony w morze. Tutaj przechadzają się wszyscy kąpielowi goście, tutaj siedzą na ławkach po obu bokach stojących, chociaż taki tu zawsze wicher silny, że siedzieć jest nie bardzo przyjemnie.

Nad morzem jest lity piasek, grzęźnie się nim po kostki. Tu wszyscy rozciągają sobie szale i na nich siadają, albo też dzieci sypią wał, na którym siadają starsi bo wolno na tych piaskach bawić się jak się komu podoba. Ojciec kupił mi

sznych bałwanów jak na innych wybrzeżach, bo Soboty położone są w zatoce od pełnego morza oddzielone wązkim przesmykiem ziemi, zwanym Hela, ale pomimo to, ja patrząc na nie wyobrazić sobie nie mogę jak tu kąpać się można. I nie wiem jakbym się była odważyła, gdyby nie to że mama także się kąpie, a z mamą to już się niczego bać nie można. Teraz też widzę, że kąpiele są nawet bardzo przyjemne.

Opowiem ci jak to było, kiedy pierwszy raz weszłam w wodę. Zaraz na drugi dzień po naszym przyjeździe dzień był bardzo ciepły a morze spokojne, to też mama skorzystała z tego i około dwunastej poszłyśmy do kąpeli.

Wystaw sobie trzeba mieć do niej cały ubiór, do tego płaszcz, spadający do samej ziemi i czapeczkę ceratową na głowę, ażeby włosów nie pomoczyć. Kąpiele składają się z pomostu, przy którym są maleńkie celki do rozbierania się i przywdziewania kąpielowego kostiumu, a tyle tam osób, że choć celek jest kilkadziesiąt, zawsze trzeba czekać swojej kolei. To nawet bardzo zabawne, spotykają się znajome, rozmawiają i raz wraz osoba białym płaszczem odziana, przebiega po pomoście i schodzi albo też wychodzi z kąpeli.

Utopić się tu niepodobna, bo morze przy piaszczystym brzegu jest zupełnie płytkie, tylko bardzo powoli się zniża, liny są wszędzie przeciągnięte ażeby w razie uderzenia bałwanów, można się trzymać i oprzeć ich sile, a wreszcie uważają na kąpiących się, dozorczyńnie. Kąpiele są bardzo zabawne; z daleka widać jak idą bałwany, więc trzeba się tylko przygotować na ich spotkanie, odwracamy się do nich nie-

grzecznie w ten sposób by uderzały w plecy. A doprawdy uderzają porządnie.

Kąpiel trwa krótko, najwyżej 10 minut, pierwsza nawet znacznie krócej, po niej zaś tak gorąco, że aż skóra cała pali i jest czerwoną jak ogień, a przytem tak jest jakoś lekko i miło, że doprawdy kąpałabym się chętnie dwa razy na dzień. Ale mama powiada że nie można, bo to niekiedy szkodzi i kąpeli morskich nie należy używać wedle fantazyi. Z naszą badeniarką, czyli posługaczką opiekującą się naszymi rzeczami, rozumiemy się doskonale bez pomocy niemieczyny, w której jak wiesz, byłam zawsze słaba, i z pewnością

kościolach. Nie szukaj jednak tych miejscowości na mapie, bo Niemcy wszystkie nazwy poprzekręcili oprócz Oliwy i Heli, gorzej jeszcze niż Soboty na Zoppot i Tczew na Dirschau.

Do Heli popłynęliśmy statkiem parowym. Tak jest Jadziu! byłam na morzu! wprawdzie tylko w zatoce, ale zawsze na prawdziwym morzu. Nawet przyznam ci się w sekrecie, że się trochę bałam, przyszedł mi na myśl Robinson i to nie jeden ale wszystkie Robinsony jakie czytałam. Gdybyśmy tak dostali się na bezludną wyspę. Szepnęłam to mamie, mama się rozśmiała i powiedziała, że tu wysp bezludnych



Jaskinie mieszkalne.



Szałasy dzikich w Afryce.



Szałasy Hotentotów.

niema, ale za to lękać się należy choroby morskiej, bo choć pogoda była piękna, im dalej płynęliśmy od brzegu tem bałwany były silniejsze. Choroby morskiej przecież nie miałam, tylko zdawało mi się że jestem ciągle na huśtawce kołyszącej się lekko. Przytem na morzu jest wiatr tak gwałtowny, iż o mało nie zdarł mi z głowy kapelusza, musiałam go trzymać obydwo ma rękoma i choć w Sobotach



Szałasy dzikich indyan amerykańskich.

w Sobotach się jęć nie poduczę, bo w każdym prawie sklepie tak tutaj, jak w Gdańsku mówią po polsku. Ponieważ jest tu pełno osób z Warszawy, rodzice spotkali znajomych i poznali się znów z ich znajomymi. I ja także znalazłam jedną koleżankę z pensyi. Jest to wprawdzie już dorosła panna bo aż z piąttęj klasy i w Warszawie zaledwie mi raczyła skinąć głową, ale tu ucieszyłyśmy się do siebie jakby najlepsze przyjaciółki.

Soboty mają śliczne okolice, to też odbywamy spacery i wycieczki w liczniejszym gronie codziennie po obiedzie, jak tylko pogoda posłuży. Byłyśmy już w Małych Kotach, Gołębich wodach, Pucku, Heli, Oliwie, są to wszystkie siedziby kaszubskie i byliśmy tam jak u swoich, boć nawet co druga niedziela bywają wszędzie kazania po polsku w katolickich

było ciepło, tu trzeba było włożyć okrycia i obwiązać się szalami w które szczęściem byliśmy zaopatrzeni.

Kiedy potem wysiedliśmy na ląd, to czułam ciągle kołysanie statku, a wieczór spać się położywszy miałam takie uczucie, jakby pościel i łóżko przechylało się ze mną rytmicznie w tę i ową stronę.

Jedną z najbardziej zajmujących miejscowości koło Sobót, to Oliwa. Można tam pojechać koleją ale nierównie przyjemniejszą jest droga powozem, jedzie się wówczas około godziny przeslicznymi lasami, obrastającymi pagórki i wąwozy.

Oliwa! jakież to piękne miejsce, pamiętasz iż uderzone tą nazwą myślałyśmy o niej często, i być tam pragnęły, kiedy mówiono nam o nieszczęśliwych rządach Jana Kazimierza,

który tam zawarł traktat ze Szwedami i Brandenburgią, zapewniający niezależność państwa dziś tak potężnego. Otóż ja byłam w Oliwie, widziałam stół na którym traktat został podpisany, i tablicę pamiątkową z jego datą. Na tej tablicy przedstawione są jedynie dwie złączone ręce, trzymające gałązkę oliwną, jako znak pokoju i razem nazwę klasztoru.

Opowiadano nam, iż były tu przeniesione z oliwnika jerozolimskiego drzewa, z których poszła nazwa opactwa, pokazują nawet przy korytarzach okalających kościół szklany okrąg, gdzie drzewa oliwne rość miały. Dziś niema już ich śladu.

Rodzice bardzo się zachwycali sklepieniem kościelnem i sklepieniem korytarzów, ja się na tem nie znam, wiem tylko że całe to sklepienie posiane jest malowanymi gwiazdkami, ale to nie te gwiazdy podobały się rodzicom, mówili nawet, że one psują wrażenie całości.

W kościele są przesłiczne organy i dużo pięknych obrazów a pomiędzy nimi wizerunki Stefana Batorego, Władysława IV i wielu innych, szkoda tylko iż znajdują się tak wysoko, że je zaledwie dostrzedz można.

W refektarzu ogromnej pustej sali, brrr! aż mrowie przechodzi gdy się w niej echo kroków rozlega, są znów portrety opatów od założenia tu cysterskiego klasztoru w XII-m wieku, aż do skasowania go w r. 1813. Miałam ochotę ich porachować ale brakło mi czasu, a tak dziwno się robi patrząc na malowane twarze ludzi, którzy tu rządząli przez tyle wieków i na pustkę jaka tu teraz panuje.

Odetchnęłam kiedy wyszliśmy znów na powietrze. Oprócz kościoła jest w Oliwie przesłiczny park, chodziliśmy po nim długo, oglądając szpalery misternie strzyżone, aleje z drzew wspaniałych, aksamitne trawniki, kanały, sadzawki, kaskady, a wszystko pięknie utrzymane. Pokazywano nam też dwie niby grotty zbudowane po dwóch stronach szerokiej alei, a co się w jednej wyszeptało choćby zaledwie poruszając usta, to osoby będące w drugiej słyszą doskonale.

Trochę to niebezpieczny figiel, ale choćby się komu dał we znaki, to go żałować nie będę bo przecież wiemy dobrze, iż nie należy myśleć nawet tego, czegobyśmy głośno powtórzyć nie mogli. Są przecież takie koleżanki na pensyi, którymby się nauczka jaką grotty te dać mogła przydała. Dopiero by się zawstydzili, gdyby nauczycielka usłyszała ich niemądre koncepta. Zaraz im o tój grocie opowiem.

Nol co ja za długi list napisałam! Spodziewam się, że mi teraz nie będziesz robiła wymówek, nie będziesz grymasiła: Co mi po takim krótkim liście. Piszę go już przez cały tydzień jak tylko wracam do domu, dzisiaj deszcz pada od samego rana, a taki wichur że nawet kąpać się nie można, więc korzystam z tego żeby dokończyć opisu tego wszystkiego co widziałam i słyszałam, a w końcu uściskać cię z całego serca i dodać, że gdybyś tu była, toby mi już niczego do szczęścia nie brakowało.

Twoja kochająca *Helenka*.

WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDROWCA

Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Dreszcz mię przeszedł przy tem ostatniem westchnieniu grubego zimnego na pozór Holendra, takie przerażenie w niem drgało teraz jeszcze.

— Pan byłeś wtedy w tutejszych okolicach? — spytałem po chwili zaledwie śmiać pytać, miotany uczuciem strachu i ciekawości zarazem, podobnie jak to zdarzało się w dziecinnych latach przy słuchaniu okropnych bajek.

— Znajdowałem się wtedy chwilowo w Buitenzorg — odpowiedział ciężko wdychając — ot tam prosto przed na-

mi jak teraz stojmy, w głębi Jawy, w moim własnym domu w odległości 150 kilometrów w prostą linię od wyspy Krakatoa, do której obecnie płyniemy. Na raz jeden usłyszeliśmy okropny huk strzałów armatnich i w pierwszej chwili zupełnie tracąc przytomność, kobiety i dzieci zaczęły krzyczeć i płakać i niepuszczać nas, którzy znów gwałtem szarpaliśmy się aby wybiedz z domu i zobaczyć zżąd wzięła się nagle ta bateria z ciężkich obłęzniczych dział jakichś złożona, która widocznie paliła prosto w mój dom mający jakoby runąć w teże chwili. Wypadłszy dopiero na ulicę ujrzałem wszystkich sąsiadów, w takim samym zupełnie jak ja położeniu i kłopotcie wyległych na ulicę, a zaś armat ani śladu... Po namyśle i wzajemnem porozumieniu się, nie wiedzieliśmy ostatecznie co myśleć? Armat oczywiście nie było, a jednak każdy dopóki w domu się znajdował, pewny był, że cała bateria ten jego dom właśnie wzięła za cel dla kul swoich. Domy trzęsły się, wszystkie sprzęty i przedmioty ruchome, zwłaszcza zawieszzone na ścianach brzęczały, dzwoniły, trzeszczały. Nakoniec zaczęliśmy domyślać się jakiego bardzo blizkiego wulkanicznego wybuchu, ale Krakatoa nikomu ani na myśl nie przyszła, dla zbyt wielkiej odległości. W ciągłym strachu przebyliśmy noc, aż o siódmym rano nastąpił huk taki straszny ze wstrząśnieniem połączony, że wszystkie drzwi i okna nie na zamki zamknięte rozwarły się szeroko, tynk posypał się ze wszystkich murów, lampy, zwierciadła, obrazy, pospadały, i zaczęło się ściemniać... w kwadrans po dziesiątej rano trzeba było zapalać światła i powozy przy latarniach zapalonych jeździły. O wpół do jedenastej ujrzałem na własne oczy wśród ciemności ciemniejszą jeszcze od nich, żółtawego odcienia chmurę, opuszczającą się zwolna na miasto, tak jakby chmura dymu, a potem zaczął padać popiół bardzo wilgotny, zupełnie tak jak deszcz zwykły padać; trwało to do trzeciej z południa. Nie stało się w Buitenzorg nic więcej, a jednak doprawdy były chwile, w których tak mnie jak i innym przychodziło na myśl że „niebo i ziemia odmieniają się i odmienione będą” czyli że nadszedł koniec świata. Później dowiedziałem się że w Kochinchinie w miejscowościach odległych o 1900 kilometrów od Krakatoa, nawet znający się na rzeczy, pewni byli tegoż dnia słuchając grzmiącego huku, że odbywa się kędyś straszliwa jakaś bitwa morska. O!... byłem nie w jednej prawdziwej walce na morzu i w burzy, ale tamto gorsze było od bitwy i burzy, może dla tego że mniej znane. Pamiętam że przejmowała mię groza strachu.

I ja zadrżałem patrząc na Holendra wymawiającego ze drżeniem te słowa: Nie wiem czy ty czujesz to Wańdziu, jak bardzo i rzeczywiście dzielny i odważny musi być mężczyzna, żołnierz, który z taką prostotą nie waha się przyznać do strachu?... Kapitan podniósł rękę ku wybrzeżu jawańskiemu przesuwałemu się teraz koło nas w pobliżu:

— To jest zatoka Bantam, tam w głębi jest obwód Serang, 1933 osób zginęło tu w czasie wybuchu. A to, przylądek św. Mikołaja... czy widzisz te palmy?... — Ogromne drzewa stały poczerńałe a wielkie ich liście żółte i zeschnięte wisiały nieżywe na pniach olbrzymich. Opłynawszy przylądek św. Mikołaja wpływamy w cieśninę Zundzką, kierując się na południe zachód. Bez pytania domyśliłem się przecież, że brzegi, które widzę na prawo, to Sumatra; duża góra poszarpana z nich wygląda, to wulkan Rajah-Bassa; po lewej stronie widzę zawsze wybrzeża Jawy. Jakiś głos niewyraźny mocno, zapewne z powodu ust gałką tytoniu zapchanych, wedle szkaradnego marynarskiego zwyczaju, mruczy koło mnie:

— Oto siła! Śliczna rzecz taka siła: ogromną skałę rozdrzeć na czworo tak jakbym ja rozdarł gąbkę!... piękna rzecz!

— Głupis. Nie; wyspa „Dwars in den Weg” (w poprzecz drogi) zawsze składała się z czterech skał przy sobie stojących nie zaś z jednej; ja tam nieraz byłem po orzechy kokosowe przepływając tędy, to wiem: ale dopóki wszystko zarośnięte było wielkim lasem i gęstwiną, to wyglądało razem jak jedna kępa zieleni, zaś jak tam na Krakatoa pukać zaczęło, fale zakipiały, skoczyły aż tutaj na „Dwars

in den Weg" i zdruzgotały i zmiotły wszystką zieleń, wszystkie lasy jakby czuprynę zgolił... tedy naga skała rozpadnięta na cztery części wyrzała na świat... ale nie pękła ona wtedy, nie: już wprzód była taka.

— I ja powiadam tak samo jak ty, że jest głupi jeden z nas dwóch, zaręczam tylko że to nie ja; jeżeli zaś i ty utrzymujesz że to nie ty, to powiedzże co to jest wybuch wulkanu?...

— Wielka rzecz... każdy wie o tem przecież że wewnątrz ziemi w piekle warzy się bezustannie rum na domowę potrzebę, w dużych kotłach, na kominach, których dymniki wyprowadzone są na zewnątrz skorupy ziemskiej i ludzie zwą je wulkanami; a ilekroć służba tam na dole zagapi się, tylekroć rum piekielny kipi, zapala się i wybucha kominem na zewnątrz i rozlewa się na świat, co wszystko ludzie zwą wybuchami wulkanicznymi... ot i cała parada!...

— Aha... słyszałeś ty, że dzwonią, tylko nie wiesz gdzie!... Prawdą jest, że rum zawsze się w piekielnych kotłach warzy, boć to jest piekielny wynalazek umyślnie na diabła wymyślony uciechę, więc wynalazcy nie żałują go sobie; ale widzisz wąż morski, czasem wypatrzywszy czy zwiększywszy jaką szczelinę w ziemskiej skorupie, wślizguje się nią do wnętrza i żłopie także bestya rum wrzący z kotła, żłopie jak najprawdziwszy wilk morski, aż odurzeje i dopiero w odurzeniu szaleć zaczyna, wywraca kotły z rumem, które istotnie w takich razach zapala się i wybucha kipiąc na świat, albo uderzeniem ogona wąż przecina skały na ćwierci tak jak to właśnie z tą „Dwars in den Weg" uczynił, lub inne tym podobne wyprawia figielki: rozumiesz teraz?

Komenda kapitańska przerwała tę rozmowę dwóch majtków, której kilku innych uważnie słuchało z najpoważniejszymi w świecie minami.

— Jakto, więc oni seryo wierzą w takie baśnie o jakich rozprawiali? Ależ to chyba Holendrzy tylko są tak zaborbonni — spytałem — dotąd nie zdarzyło mi się jeszcze słyszeć podobnej rozmowy.

— To znaczy — odrzekł pan Antoni — że dotąd podczas niedługiej morskiej podróży, nie zdarzyło ci się jeszcze słyszeć prawdziwie swobodnej ich gawędki, gdy przypadkowo nie mają zajęcia przy takiej spokojnej jak obecna chwili. Jest to owszem ulubiony ich sposób przepędzania wolnego czasu, prawią w takich razach brednie nad bredniami, przesadzając się w najnieprawdopodobniejszych bajkach własnego pomysłu, niekiedy naprawdę nawet dowcipnych, a wszystko to prawi się z największą w świecie powagą, gdyż ta powaga a raczej drewniana czy kamienna obojętność, staje się podobno naturą, starych marynarzy. Może kamienieją oni pod ciosami bezustannych potężnych wrażeń, wśród jakich z konieczności upływa im życie; nie wiem tego, ale zaręczyć ci mogę, że nie zdarzyło mi się widzieć starego majtka śmiejącego się, choć ja sam pokładałem się nieraz ze śmiechu słuchając ich gawędy.

— Całe to wybrzeże jawańskie koło którego płyniemy teraz — mówi wdychając kapitan zbliżywszy się znowu do nas — to obwód Bantam...

— Czyliż cała ta okolica składa się z takich pustyn bagnistych?

— Pustyn bagnistych?... Przed dziesięciu miesiącami zaledwie, ta bagnista pustynia na którą panowie patrzycie, była przepyszny lasem kokosów, a pomiędzy gęstwiną palm, tu i owdzie błyszczały kwiatne siedziby ludzkie, liczne i pełne rozkosznego spokoju... Ot tam było Merak a tu na wprost było „Andzer" słynny i bardzo uczęszczany port, najbardziej na wybrzeżach Zundzkiej cieśniny, ta rozleża na 1000 metrów równina pusta, tu i owdzie tylko z porzrzuconymi ogromnymi odłami gałęzi koralowych... była miastem, portem ludnym i bogatym przed niewielu miesiącami!... o!...

Słuchając tych przeciągłych „o!..." naszego kapitana, zacząłem pojmować że straszny wybuch, którego skutkiem przypatrywaliśmy się, acz zlagodzonym już niezmiernie od-

żywczą sprężystością podrównikowej przyrody, musiał być czemś daleko okropniejszym, niż o tem słyszeliśmy albo raczej czytali w domu u nas.

— Mój syn Oswald — mówił kapitan — jako inżynier, dozorując robót tutejszych znajdował się w dniu nieszczęsnym 27 Sierpnia ot tam... w okolicach Tżaringin, robotnicy już odeszli, a on sam tylko konno jechał raz jeszcze przypatrując się robocie, gdy wtem zagrział straszny huk od stromy Krakatoa... i powierzchnia morza burzy się jakoś zaczęła w dziwny sposób. Koń przeląkł się i drżąc całym ciałem, począł uciekać na oślep unosząc; Oswald zaledwie podołał skierować go w stronę najbliższej osady rodziców swjej narzeczonej. Koń oszalały strachem pędził, aż przelatując koło osady Oswald zeskokczył w pełnym biegu, i puszczając konia na cztery wiatry, sam wpadł do domostwa, i natychmiast zaledwo zdoławszy porozumieć się z mieszkańcami, podążył wraz z nimi na szczyt najwyższej w sąsiedztwie skały. Mimo całego pośpiechu fale już ich goniły, zdołali jednak dostać się na szczyt wzgórza odległego od brzegu na 1600 metrów, które w kilka minut później zostało oblane nadpływającą ryczącą falą, jak wyspa, fala pomimo takiej odległości od brzegu wzniosła się jeszcze na 15 metrów u stóp wzgórza. Ciemno było zupełnie mimo wczesnego południa i czarne błoto padało gęstym deszczem. Holender przestał mówić, głosu mu zabrakło, oddychał z trudnością.

Gdy czytamy podobne opisy, jakoś to głądziej idzie, ale pomyśl tylko siostrzyczko moja, co dzieć się musiało w owej chwili z tymi ludźmi, i co dzieje się do dzisiaj z tym ojcem, gdy wspomni jak syn ukochany stał tam na szczycie skały oblanej ryczącą falą, burzącą w jego oczach całe miasto portowe, pełne gmachów tak, że śladu po nich nie zostało... to zupełnie jak potop; okropność.

Dużo ludzi schroniło się na ową skałę jako najwyższą w okolicy, a kto się na szczycie nie mieścił a fale dosięgły go mogły, to go porwały... później w kilka godzin zaczęły fale opadać i wszyscy pociemku, trzymając się za ręce i z Oswaldem na czele który macał jak niewidomy, spuszczone się ze skały i udano dalej od brzegu, w głąb Jawy do Pandeglang.

Urzędowe raporta z Merak, Andzer i Tżaringin podają liczbę ofiar na 19,632. W tej okolicy 48 osad zniweczone zostały doszczętnie, a drugie blisko tyle, częściowo. A oto przyczyna wszystkiego złego ukazuje się przed nami, wysepka Krakatoa. — Patrzyłem z przestrachem na to straszidło wyglądające w odległości tak, jakby całe było jednym tylko białym wulkanem wysokim, to jest stożkowatą górą.

— Jakto, alboż nie popłyniemy tam prosto?

— O... o... nie tak to łatwo popłynąć tam prosto, teraz pod noc zapadającą mianowicie, jest to niemożliwym; chcieliście panowie obejrzeć skutki nieszczęsnego wybuchu, ujrzycie je zatem o ile okoliczności pozwolą; płyniemy teraz zawsze wzdłuż wybrzeży jawańskich, zalanych także w dniu nieszczęsnym ale z niewielką szkodą, bo mało były zaludnione, dążymy do „Java's derste Punt" który jest właściwie najbardziej zachodnim krańcem Jawy, jest tam doskonała latarnia, która nawet wśród nocy powiedzie nas szczęśliwie, bo już ją przecież odbudowano po trzęsieniu przed trzema laty, podczas którego rozsypała się w gruzy.

— A więc przed trzema laty było tu także toż samo?

— Toż samo, nie; maleńkie „domowe" jeżeli można się tak wyrazić, trzęsienie ziemi, to u nas rzecz zwykła, na porządku dziennym, nie można tego porównywać z wybuchem Krakatoa.

Płyniemy zatem dalej wzdłuż brzegów Jawy, pozostawiając cień Krakatoa na prawo a za nią brzegi Sumatry. Tymczasem słońce zachodzi wśród stubarwnej tęczowej gry światłocieni, właściwej tej chwili i tutejszym okolicom, gdy spokój panuje w przyrodzie. Jeżeli kto, to ty właśnie Wańdzu powinnaś to zrozumieć, bo przecież latem na wsi dążysz zawsze, na chwilę zmierzchu ku naszej „górce" za ogrodem, aby ztamtąd podziwiać cuda „wielkiej księgi" tego światła. Otóż spotęguj siłą wyobraźni piękność naszego zachodu słońca, do nieskończoności prawie, a może odczujesz w czę-

ści zachwyty z jakim patrzyłem na prawdziwe „złudy” wśród których brzegi Jawy i Sumatry zdawały się zbliżać ku mnie i unosić jednocześnie w powietrzu na tle zachodu, z początku żółtem i zielonem a potem przybierając kolejno lecz wyraźnie barwy złotą, różową, fioletową, i ciemno-szafirową, gdy tymczasem morze ściemniało błyszcząc jak stal, a góry i wulkany majaczącą ciemnym fioletem.

Szkoda że krótko to trwało; zerwał się wiatr, a że i prąd był przeciwko nam, i ciemności zapadły, wolno tedy sunęliśmy się wzdłuż owego wybrzeża Jawy, gdzie to powódź najmniej zabrała ofiar, ponieważ było nie ludne. Poszedłem się statku, wyskoczyłem coprędzej na pokład: staliśmy w małym zagłębieniu, wybrzeża ukazywały się naokoło, a przed nami, w pobliżu na wysokości najmniej 40 metrowej skale, stała wysoka budowla, domyśliłem się że jesteśmy u „Java's derste Punt”. Przystęp tutaj jest trudny a morze rozbijało się troszkę, wsiadamy w małą naszą łódkę, pan Antoni, ja, i jeden z panów towarzyszy naszych, inni czekać muszą na swą kolej, bo łódeczka mała a wiosłarzy trzeba kilku i to co najdzielniejszych, przy takim morzu. Z niemałą pracą majtków płyniemy wreszcie i stajemy:

— Czyliż to ma znaczyć żeśmy przybili do lądu?... wszakże tu woda na wzrost rosłego człowieka w około i buja się w dodatku?... — powiadam do pana Antoniego, widząc że wszyscy zabierają się czółno opuścić.

(d. c. n.)

NITECZKA ARYADNY.

(Od Poranka majowego dla Rusalki).

| | | | | | | | | | |
|------|------|--------|------|-------|------|------|------|------|-----|
| po | | mi | | | | | | | |
| zie | | nim | | | | | | | |
| tur | ban | do | wią | Hisz | za | się | cią | | |
| le | swój | żąc | nóg | mi | pa | na | gnał | | |
| a | ła | re | na | mi | bnął | ce | o | wtem | nał |
| na | tal | ko | ka | padł | drzą | śla | za | wis | a |
| chwy | szy | na | bjał | stach | nał | go | u | lój | naj |
| ce | ję | za | u | o | je | ścis | wi | dza | czu |
| re | za | wszyst | uza | man | mnie | wo | tal | | |
| kich | | zor | | je | | Al | | | |

SZARADA (Nieznajomy).

Azyatyckiej rzeki miano
Jest to imię moje;
Ale jeśli ci je dano
Jest spieszczone twoje.
Czytelniczko moja miła;
Zaś jeżeli *pierwsze* moje
Wstecz kto bądź odczyta
To mieć będzie za swe znoje
Spółgłoskę i kwita;
A jeśli mi samogłoskę
Odrzucicie z końca
To będziecie mieć roślinę
Która pragnie słońca
Tak jak wszystkie... ale która
Na odzienie służy
I odziewa się nią każdy
I mały i duży.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go

Zadania konikowego:

Jakież to piękne dziecięce lata,
Kiedym zaledwie odnikł od ziemi;
Myśl moja często ku nim ulata,
Złocąc je snami, łzami cichemi.

Kiedym to ^{*}igrał na ^{*}matki ^{*}ręku,
Kolano ojca było konikiem;
W sercu woń taka i tyle dźwięku!
Oj, nie płakało jeszcze po nikiem.

(„Dziecięce lata” p. Lucyana Siemieńskiego).

Synonim:

Filip — piki.

Zamiast rs. 1 kop. 50 tylko kop. 75, z przesyłką zaś pocztową rs. 1, wyjątkowo dla prenumeratorów **Wieczorów Rodzinnych** ustępuje się podręcznik p. t.

METODA NAUKI RYSUNKÓW

przez T. Flinzera.

Z 44-a rysunkami w tekście i 21-a litografowanymi tablicami. Pragnący nabyć podręcznik Flinzera raczą się zgłosić wprost do *Redakcyi Wieczorów Rodzinnych* w Warszawie MAZOWIECKA N-r 10.

SPROSTOWANIE:

List do Hajduczka zamiast Poranek podpisano w druku mylnie Rosa majowa.

Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TREŚĆ: Mieszkania pierwotnych ludów, p. Henryka Wernica, (z drzew.) — Psiejda, wiersz (z drzew.) — Wakacje, listy dwóch pensyonarek, Helenka do Jadzi. — Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata (c. d.) — Niteczka aryadny, Szarada **Dodatek:** Rozsądny swawolnik, wiersz (z drzew.) — Roztrzępana Mania, p. Konwaliijkę leśną. — Pierwsza ofiara prochu. — Na wakacjach p. Bronisławę Porawską. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Goście ciotki Klotyldy, p. Mrs. Molesworth, przełożyła z angielskiego T. P.



ROZSĄDNY SWAWOLNIK.

— Ej braciszku, ej ty mały,
Słuchaj mamy, słuchaj tatki,
Na swawoli przez dzień cały
Nie zyskują wcale dziatki!

Lecą dzionki jakby ptaszki,
Z dzionków prędko będą lata,
Minie młodość na igraszki:
Czyż nieukiem mam mieć brata?...

Na to słówko Mani ostre
Jaś zapłonił się po uszy...
Uściskawszy starszą siostrę
Jął się uczyć z całej duszy.

Roztrzepana Mania.

Mania była to bardzo grzeczna dziewczynka, uprzejma, usłużna, lecz miała jedną wadę, to jest była bardzo roztrzepaną. Upomnienia starszych, a nawet i kary nie mogły jęj z tęg brzydkięj wady wyleczyć. Tymczasem zbliżała się zima, a z nią i karnawał, którego Mania oczekiwała z niecierpliwością, gdyż mama obiecała jęj zawczasu, że wyprawi wieczorek tańcujący i sprawi jęj śliczne ubranie. Nareszcie nadszedł karnawał, a z nim ów dzień upragniony przez wszystkie dzieci zaproszone do p. Kosteckich, gdyż tak się nazywali rodzice Mani. O godzinie szóstęj Mania zaczęła się ubierać, jakaż to była przytem uciecha, gdyż ubranie kupione przez mamę podobało jęj się bardzo. Miała sukienkę białą muslinową z szarfą zieloną i zielone pantofelki. Gdy się ubrała i weszła do sali jadalnęj, zastała tam mamę, która gotowała przyjęcie dla młodych gości. Lecz w teję chwili gdy tam wchodziła, Mania spostrzegła wylewają-

cą się na obrus butelkę z sokiem malinowym, i jak zwykle roztrzepana, niepomińc przestróg mamy co do czystości sukienki, podbiegła by butelkę przytrzymać. I rzeczywiście udało się jęj to, lecz jakież było jęj przerażenie, gdy postawiwszy butelkę na stole, zobaczyła na samym mamie, spojenki dużą czerwoną plamę. Zobaczyła to i że za karę na dzisieję na dziewczynkę i powiedziała, splamionęj sukni.

— Wczoroku musi być w tęg
I cóż powiecie? Od dnia tego
się zupełnie z wady roztrzepania, zmuszoną bęjawiła
dzieć się wobec gości swoich, za niemieł jęj skutki.

Konwalička leśna.

Pierwsza ofiara prochu.

— Ojcie Bartoldzie, ksiądz przeor woła was do siebie — mówił pokorny braciszek Piotr z klasztoru Franciszkanów, wchodząc do celi zakonnika.

— Idę — odpowiedział — tylko spalę ten papier i umyję ręce, bo posmolilem je węglem, sypiąc razem z siarką i saletrą do moździerza. A ty tu poco — zawołał odpędzając kraciastą chustką kota, zagląającego w naczynie — gotów poprzewracać wszystko — i to mówiąc stary zakonnik przykrył moździerz kamieniem, a podarty papier rzucił do kominka, na którym silny płonął ogień.

— Pilnuj roboty — powiedział potem do kota i wyszedł na korytarz klasztorny.

Ale nie doszedł jeszcze do mieszkania przeora, gdy gwałtowny hałas dał się słyszeć w jego własnej celi, drzwi od nięj zatrzęsły się w zawiasach, a okienkiem buchnął cuchnący dym.

— W Imię Ojca i Syna! — zawołał przerażony braciszek — to ten kot szkaradny, jemu zawsze źle z oczów patrzyło, czułem ja, że to nic dobrego, tylko wy ojcie Bartoldzie wierzyć takim rzeczom nie chcecie.

I mruczał Piotr, ale jakież było jego zdziwienie, gdy wszedłszy do celi, zastał biednego kota rozciągniętego i bez życia, obok niego leżał kamień. W celi panował okropny nieład, moździerz potoczył się aż pod ścianę, z półek pospadały książki, a olej z wywróconęj lampki ciekł po podłodze.

Bartold podniósł kota.

— Widzisz biedak, niewinny, żal mi go bardzo, ale jakim sposobem stać się to mogło i gdzie podział się węgiel, saletra i siarka?

Mówił to oglądając moździerz, na spodzie którego nie było nic, prócz kawałka niedopalonego papieru.

Cela napełniła się tymczasem zakonnikami, pytali z przerażeniem, co mogło być przyczyną huku i dymu.

Bartold opowiedział braciom, że przygotowywał właśnie mieszaninę z siarki, węgla i saletry, kiedy stał się wypadek, którego sam nie rozumiał.

— Papier spalony mógł się dostać do mózdzierza z komina, bo kamień nie przykrywał dobrze otworu, ale jakim posobem zniknęła moja massa, i kto odwalił kamień co z takim hukiem zabił kota?

Nagle błysnęła mu myśl.

Zawinął trochę pozostałej na stole masy w papier i wrzucił ją w ogień.

— A to co znowu — zawołał braciszek Piotr, bo w kominie huknęło i dym rozszedł się na wółał teraz z ra-

— Zburzymy klasztorny — massa zrobi to bez pomocą Bartold Szwa-
mocy kil- się też stało, na dziedzińcu wznosiła się stara
szta, siedlisko szcurów, dawno chciano ją rozwalić ale
praca była ciężka, odkładano więc wykonanie jój na
później.

Usmolony od węgla brat Bartold, rozkruszył z łatwością kamienną budowę, podłożywszy pod nią pudełko swój masy, które posypał węglami.

Całe zgromadzenie przypatrywało się doświadczeniu, przesądny braciszek napróżno spluwaniem odpędzał dyabła, proch był wynaleziony.

Bo proch to, kochani czytelnicy, odkrył w ten sposób we Fryburgu Bartold Szwarc, zakonnik franciszkanin, żyjący w czternastym wieku.

Pierwszą ofiarą nowego wynalazku był kot, ale od tego czasu iluż nieszczęść stał się ten wynalazek sprawcą! Niezapominajmy jednak, że proch także przebija drogi przez nieskruszone ludzką ręką skały, że broni słabego od przemocy napastnika, i że dopomaga człowiekowi do wytopienia dzikich, drapieżnych zwierząt.

NA WAKACYACH.

(Dalszy ciąg).

Stało się to zupełnie niespodzianie, Maciej rozmawiając z Władziem, nie spostrzegł że konie skęciły już do wsi, tu trzeba było przejeżdżać przez wązki mostek przy stawie, konie zwyczajne drogi byłyby przeszły dobrze, ale Gucio szarpnął mocno, lejcowy skęcił, dyszłowcy za nim, wóz za dyszłowym, i oto, znaleźli się wszyscy w wodzie.

Szczęściem staw był niegłęboki, a Maciej przytomny, porwał więc chłopczyków na ręce, i brnąc po pas, wyniósł ich na brzeg, zmoczonych do nitki.

Co tu robić, bali się wracać do domu, i Gucio namawiał, aby iść za ogród na łączkę, i tam się na słońcu wysuszyć, ale Władzio po krótkiej chwili namysłu, nie chciał na to przystać, i ruszył prosto do dworu.

— Mamusia zawsze powiada — mówił idąc — że choćby się co najgorszego zrobiło, to należy zaraz powiedzieć rodzicom, ja idę do cioci i powiem jak się stało.

— Poskarżysz na mnie? — zapytał Gucio,

— Ty sam powiesz pewnie wszystko — odpowiedział Władzio.

Na szczęście kąpiel nie zaszkodziła chłopcom, skończyło się więc na połajaniu, a babunia powiedziała, że przez trzy dni, tylko w ogrodzie bawić się będą, i koni jeszcze nie dostaną.

Najgorzej na tem wyszedł Maciej, bo usłyszał porządną burę, że nie pilnował, jak Gucio powoził. Chłopcy stracili trochę z fantazji, bo wyszła na jaw sprawa, że... kurnikiem, więc wstyd był wielki za takie niemądre psoty, a najbardziej podobno bolało ich to, że jeszcze przez trzy dni, na konie czekać muszą. Ale trudno, babunia powiedziała, że wyroku nie zmieni. Przed wieczorem, wszystkie dzieci bawiły się w gry różne na trawniku przed domem, babunia z cicią siedziały z robotkami na ganku, spokojne, że całą gromadkę miały przed oczami.

— Bawmy się teraz w chowanego — prosił Gucio starszych siostrzyczek, skacząc koło nich na murawie — moja Milo, moja kochana, tylko pozwól, ja się schowam, choć jeden raz, dobrze?

— Jaki mądry — zawołała Lucia — sam tylko chcesz się schować, jeżeli tak, to ja cię szukać nie będę.

— Ani ja — rzekła Julcia — będę się bawić w chowanego, ale jeżeli ja pierwsza się schowam.

— Tak to ja nie potrzebuję — krzyknął Gucio — ja najpierw się schowam, bo ja wymyśliłem tę grę.

— Nie ty wymyśliłeś — zawołała Lucia rzucając na trawnik kulę od krokietą, którą się bawiła — nie, bo my już dawno w tę grę się bawimy.

— Dzieci — rzekła Miła tonem osoby dorosłej — czy to pięknie sprzeczać się o lada drobnostkę? ty Guciu powinieneś ustąpić Luci, dla panienki zawsze trzeba być grzecznym.

— A Lucia jako domową, powinna znów ustąpić Guciovi — mówiła Kazia upominając siostrzyczkę — gdybyś pamiętała co ci mama mówiła, nie byłoby przyszło do tej sprzeczki.

— Oni tak zawsze, odezwał się Władzio poważnie — zamiast się bawić, to czas marnują na kłótni.

— Ale bo... — jękała Lucia.

— Bo... — rzekł Gucio — przeżykając — Lucia nigdy nie chce ustąpić.

— Ani ty — dorzucił Władzio.

— A jakże będzie z naszą grą w chowanego? — zapytała Julcia, którą ta sprzeczka nie bawiła.

— Bawmy się, bawmy — zawołały dzieci, zapominając wzajemnych uraz.

— Które się najpierw schowa? — zapytała Miła.

Dzieci milczały spoglądając po sobie.

— Ja wiem, — rzekła Kazia — kto najpierwszy dobiegnie do mety, ten się schowa.

— Dobrze! dobrze — zawołano jednogłośnie.

Ustawiono więc dzieci w równej linii, Miła i Kazia do wyścigów należeć nie chciały, miały być sędziami. Na dane hasło, wszyscy puścili się razem, biegną... zwycięstwo się waży między Guciem i Władziem, dziewczynki bowiem od początku zostały w tyle... kilka kroków jeszcze... i Gucio staje u mety.

Władzio pierwszy o tem powiedział, i przyznano zwycięzcy że on się najpierw schowa.

— Ja wiem gdzie on się schowa — szepnęła Lucia

Julci — z pewnością w maliny, takie gęste i wysokie, nie go widać nie będzie, ale ja go znajdę.

— Albo pójdzie do altany, i ja go znajdę — odrzekła Julcia również cicho.

— Proszę tylko Gucia, i zastrzegam to — rzekła Mila — aby nie odchodzić daleko od domu.

— Nie bój się, nie — odrzekł Gucio — będę bardzo blisko, a jak klasnę w ręce, możecie mnie szukać!

I pobiegł za dom do ogrodu.

Jeszcze nie zdążono zrobić żadnego domysłu gdzie Gucio się schowa, gdy usłyszeli głośne klaśnięcie.

— Już! już! — krzyknęły dzieci, i pobiegły szukać schowanego.

Ale wszystko daremnie, nie znaleźli go ani w malinach, ani w altanie, i już zaczęli tracić cierpliwość, gdy nagle Julcia krzyknęła:

— Jest! jest! siedzi na dachu.

Wszyscy spojrzeli, i rzeczywiście, ujrzeli Gucia siedzącego przy kominie.

Przerażenia Mili opisać trudno, dom był wysoki, dach pochyły, i lada nieostrożne posunięcie nogi, Gucio mógł spaść na ziemię.

Ale jak się tam dostał?

Oto mularze przerzucali dachówkę, dziś właśnie skończyli robotę, lecz nie odstawili jeszcze drabiny, i po niej to, nierozważny chłopiec, wdarł się na wierzch dachu.

Dzieci mniejsze nie rozumiejąc niebezpieczeństwa, skakały z radości i klaskały w rączki, ale Mila stała nieruchomie, z utkwionym w braciszka wzrokiem, nie mogąc głosu wydobyć.

— Guciu! — zawołała Kazia — siedź spokojnie, nie ruszaj się z miejsca, pobiegnę po Michała to cię sprowadzi.

— Ja sam zejść, nie potrzebuję żeby mnie kto sprowadzał, tak samo zejść po drabinie — odpowiedział chłopczyk, chcąc się zsunąć po dachu.

— Guciu! krzyknęła Mila rozpaczliwie — jeżeli rodziców kochasz, czekaj aż cię kto sprowadzi.

Słyszając głośniejszą rozmowę dzieci, ciocia chciała obaczyć co się tam między niemi dzieje, i przysłała do ogrodu.

Przerażenie jój było nie mniejsze jak Mili, nowe zaklęcia i prośby aby się nie odważył sam schodzić, a tymczasem nadbiegł i Michał, po którego Kazia udała się niezwłocznie.

— Chryste panie! — zawołał służący — ja sam nie wiem jak tam wejść po tego zbytnika, jeszcze obadwa karku nadkręcimy.

Niepodobna opisać trwogi cioci i Mili, gdy Michał suwał się po dachu, trzymając pod pachę chłopca, który jakoś stracił na fantazyi.

Roztropna Kazia, zabawiła przez ten czas babunię, obawiając się dla niej silnego wzruszenia, gdyby ujrziała na wysokim i pochyłym dachu wnuczka, oddanego pod jój opiekę na te kilka tygodni.

(d. c. n.)

ZADANIE KONIKOWE.

dla Marsa.

| | | | |
|-----|------|------|------|
| Jak | się | bie | lesz |
| | śołe | śpiz | |
| wy | so | tak | po |

ROZWIĄZANIE DO N-ru 37-go.

Homonimu:

P ł u g.

Skrzynka do listów.

P. Eleonorze z nad Widzby. Pensje żeńskie w tym rodzaju, jak pani wspomina, są tylko w Krakowie, tam więc po bliższe szczegóły udać się trzeba. Nie rozumiemy czemu pani nie chce przysłać swego adresu, pisując do nas przez pocztę i żądając tak długich odpowiedzi.

Pani T. D. w Krzywoli. Odpisaliśmy przez pocztę.

Masz już żądane sprostowanie miły nasz **Poranku** a więc wybacz omyłkę, niteczkę umieścimy. Druk Szesnastoletniego Wojewody zaczniemy zaraz po ukończeniu *Gości Ciotki Klotyldy*.

Pytasz nas miła **Borówko** o najbiedniejszą z rodzin, które się do nas zgłaszają? Otóż jeżeli się z nią chcesz zaznajomić bliżej, to przyjdź do naszej redakcyi a damy ci adres, tymczasem zaś donosimy, że rodzina ta składa się z rodziców zupełnie podupadłych (ojciec chory) i *ośmiorga* dzieci. Dzieci pracują wraz z rodzicami i praca ta zbiorowa przynosi tyle tylko, że na żywność nie pozostaje jak 20 gr. dziennie... Kupują za to trochę kartofli i soli i tem żyją... Gdyby matka miała maszynę do szycia mogłaby zarobić o wiele więcej, ale jak tu myśleć o kupnie maszyny nie mając żadnych po temu środków.

Korespondentkę twoję miła **Maryjko z pod Garwolina** poznasz, gdy przyjdiesz do naszej redakcyi, cieszy się ona bardzo nadzieją uściskania takiej kochanej dziewczynki. Osoba której wymieniłaś pierwsze litery imienia i nazwiska, jest także naszą współpracowniczką. Widać, że wakacje spędziłaś wesoło i *dobrze*, **Maryjko**, bo robótka ślicznie wykończona uraduje nie mało biedactwo któremu się dostanie. Przesyłka dojdzie swego przeznaczenia, liścik drukujemy, **Gołąbka** za pamięć dziękuje.

Niezabudka z nad Chomoru. Bieda z podręcznikami, kochany nasz kwiatku, bo nie zawsze można mieć takie jakich potrzeba. W miejscu tych jakie już przeszłaś są: *Korzona Historia starożytna* rs. 1,50. — tegoż *Historia średniowieczna* rs. 2,40. — *Baranowski i Dziedzi. Geografia powszechna* rs. 2,25. — *Wrześniowski Zoologia* 2,40. — *Rostański Botanika część niższa* 1,60. — *Reusner Metoda języka angielskiego* kop. 75.

Moja ty milutko **Jagódko śnieżna**, **Gołąbka** uścisk przyjmuje i uściskiem odwzięcza, ale co do fotografii, to rzecz inna. Jakżeż odfotografować tak ruchliwe i lotne jak ptaszek stworzenie, a szczególnie jak wasza **Gołąbka**, która nie darmo zwie się pocztową? Żaden fotograf nie próbował tego nigdy.

Wszystko co nam piszesz, miła **Rusałko** dowodzi że myśleć zaczynasz poważnie. Odpowiemy ci jednak słowy poety; „Ty nie

szukają... winy". Ze zmianą czasów zmienili się ludzie; była jednak chwila, że stąpali „poświęcenia chodem”. Do pseudonimu swego dodaj jakie określenie, któreby stanowiło różnicę pomiędzy dwoma Rusalkami.

Adres **Szczerości** zmieniono; za robótkę ślicznie dziękujemy, oceniając powód, który skłonił do podjęcia się roboty trudniejszej. Tak zawsze wybierać w życiu trzeba: nie to, co łatwiejsze, ale co piękniejsze i lepsze.

Jaką to radość dla nauczycielki trafić na taką uczennicę jak **Sasanka**, która tak ślicznie w czyn umie wprowadzić teorią szlachetnej zasady. Tak; dobre użycie mienia, to wielkie szczęście i wielka razem zasługa, tem większa, jeżeli ofiarą własnych przyjemności okupiona.

I bądźże tu literatką na to, żeby się komu nie wiodła korespondencya! Liścik w swoim czasie wydrukujemy, aby nie zniechęcać początkującej koleżanki.

Horpyno droga, szczegóły o które pytasz będą podane w swoim czasie do wiadomości ogólnej. Mamy nadzieję, że to już niedługo nastąpi, tymczasem serdecznie dziękujemy za upominek z pól naszych, którym umiałaś i bez tego miły nam twój liścik. **Reginka** kosztuje stosownie do oprawy od rs. 1 kop. 50 do 2-ch rs. **Łamigłówek** byle dobre i byle cierpliwie czekające swojej kolei, przyjmujemy chętnie.

Irence K. ślicznie dziękujemy za robótkę. Myśli, które ci się przy niej nasuwały są najskuteczniejszem lekarstwem na tęsknotę, sama się o tem przekonałaś, nieprawdaż?

Gwiazdziste Niebo chętnie witamy w gronie korespondentek, będzie nam może przyświecało w ciemnych godzinach życia.

Bardzo chwalebna jest szczerść **białej Akacyi** i jej chęć do pracy, i chętnie się zgadzamy, aby do konkursu należała. Co do **łamigłówek**, to zawsze jedna odpowiedź, po przejrzeniu i gdy na nie kolej przyjdzie.

Pominałam cię w liście moim z Warszawy, droga **Niezabudko Czeska!** A wiesz dla czego? Oto list twój do mnie przygotowano do druku i włożono pomiędzy rękopisy, więc teraz dopiero wpadł mi w ręce. Dziękuję ci serdecznie za pamięć i wszystko o czem mi donosisz i proszę nie przestawaj pisywać do mnie. Twoja odana *Gołąbka pocztowa*.

Wiem kim jesteś **Małcze!** Masz lat 10, mieszkasz w Warszawie, nazywasz się **Adaś S.** masz trzy siostry i dwóch braci; wakacje przepędziłaś bardzo wesoło w Trzebieniach; czy tak? *Niezapominajka z nad Warty*.

Moje najukochańsze **Jesieni** i **Biała Akacyjko**. Czy wy mi darujecie kiedy moję niegrzeczność względem was, przyjaciółeczki nieznanne, że tak długo wam nie odpisywałam? Donoszę ci droga **Jesieni**, że muzyka to mój ideał, najlepiej lubię Chopina, a najwięcej gram Liszta. Daremnie łamałam sobie głowę, żeby odgadnąć kto jesteś tajemnicza **Akacyjko**, zlituj się i donieś mi, bom strasznie ciekawa. Gdzie mieszkacie drogie moje? Posyłam wam milijardy całusów, kochająca was *Cyganecka z nad Wisły*.

Kochane moje: **Polanko Dębinko** i **Bzu gałązko**. Podobał się mi bardzo podany przez was projekt dotyczący uczczenia pamięci „Kochanej pani” i chętnie się do niego przyczynię. *Niezabudka z nad Chomoru*.

Sasankę, **Leliwiankę**, **Jedlinkę**, **Filarętkę**, **Stokrotkę z nad Stochodu** pozdrawiam i proszę żeby mi co o sobie doniosły.

Najdroższe **Amalwo**, **Księżniczko z krainy Róż**, **Makolągwo** i **Czeska Niezabudko!** Znam was wszystkie bardzo dobrze i kocham bardzo. Ty **Czeska Niezabudko** jesteś siostrą mojej wujenki; skarżyłaś jej się podobno, że do ciebie nie pisuję przez **Wieczory**. Donoszę ci więc że miesiąc spędziłam u twojej siostry gdzie się bardzo dobrze bawiłam. **Makolągwo** jesteś **M.** czy **A. M.** ja zaś znaną ci **Mają**. **Amalwo** i **Księżniczko**, moje siostrzyczki pisujcie do mnie często jak i do **Makolągwy** rodem z **Welezina**. Posyłam

wam **łamigłówkę**, całuję was wszystkie serdecznie *Królowa Wrózek*. *Gołąbce serdeczne uściśnienia przesyłam.**)

Kochana Królowo Salin! Pseudonym twój bardzo mi się podoba. Jeżeli chcesz mnie bliżej poznać przeczytaj mój liścik do **Dzieweczki polskiej** w 25 numerze roku zeszłego. Wiem że jesteś szatynką ja zaś blondynką dość wysokiego wzrostu jak na lat 13. Gdzie mieszkasz? Ja bardzo lubię miasto, lecz znam tylko **Lwów** gdzie za rok pojedę na pensję. **Koralową obrączkę** ucałuj odemnie. Może jako królowna nie raczysz odpisać życzliwej ci *Literatce*.

Drogi moje: **Konwalijko z Jakimowic**, **złota Wierzbo** i **Reginko!** Domyśliłam się kim jesteś, **Konwalijko**, na imię ci **Janinka**. O nas słyszałaś od **panny Ł.**, czy tak? Zgadłyście kochane **Wierzbo** i **Reginko!** mam ogromną ochotę poznać się bliżej z wami! Dawno nie spotkałam was w kościele, z **Woli** wyjeżdżamy w październiku, *Biała Akacya*.

Drogi Kmicicu! Piszę do ciebie, gdyż chciałbym cię poznać i korespondować z tobą przez nasze „kochane **Pisemko**”. Donieś mi ile masz lat? jak się nazywasz? i jaka powieść ci się najlepiej podoba w **Wiezorach**, bo mnie to „**Branki w Jassyrze**”. Z wielką przyjemnością czytam nasze kochane **Wieczory**, lubo prenumeruję także *Przyjaciela Dzieci*. Za kilka miesięcy kończę 14 lat, jestem w 3 klasie gimnazjum, nazywam się **Stanisław Mier...** Bywaj zdrow, czeka odpowiedzi: *Wołodujowski*.

P. S. **Pannie Oleńce** przesyłam ukłony.

Droga złota Tęczko! Ładny twój pseudonym skłonił mię do napisania do ciebie. Napisz mi ile masz lat, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz. Ja nazywam się **Irenka**, przędę trzynastą nitczkę mego życia, mieszkam na **Podolu** na wsi. Czyś zrobiła na konkurs jaką robótkę? Bo ja już moją ukończyłam. Odpisz prędko twojej *Rosicze z nod Rowu*.

Donieś mi co o sobie kochana **Rybko z Warty**, a przede wszystkim gdzie mieszkasz. **Pomadko różowa** napisz do mnie droga moja czy twoje imię nie jest **Stanisława?** Wasza *Niezapominajka z nad Warty*.

Kochana Marylo z Mokniun! Przrzekłam ci napisać przez **Wieczory**, dotrzymuję więc obietnicy. Pisałaś że twój pseudonym jest **Jagna**, czy tak? Odpisz mi, czyście zdrowi, kto was uczy, czy dużo macie lekcji i czy miałyście wakacje? My teraz więcej się uczymy, i wakacyi nie miałyśmy. Prosząc o odpowiedź, ścisza cię serdecznie wraz z twoją siostrzyczką *Horpyna*.

Droga Litwinko z nad Szczary! Jakże ci jestem wdzięczną żeś się pierwsza do mnie odezwała. Nazywam się **Antonina**, mieszkam na wsi nad **Niemnem**. Odpisz twojej *Litwince*.

Kochana Ślizgawko. Ucieszyłam się bardzo twoim miłym liścikiem i odrazu domyśliłam się kto jesteś. Na imię ci **Genia** i masz młodszą siostrzyczkę **Hanię**. Donieś mi, proszę, czy dużo się uczysz ze swoją nową nauczycielką? Czy zrobiłaś jaką robótkę na konkurs i co ci się obecnie najwięcej w **Wiezorach** podoba? Przesyła ci serdeczne uściśnienie kochająca cię *Maryna z pod Garwolina*.

Drogi moje: **Rusalko** i **Akacyo biała!** Liścik twój **Rusalko** aż nadto mię przekonał, że **rusalki** mają dar przywłaszczania sobie serc ludzkich. Dopiero od **Nowego Roku** zostałam zaliczoną do grona czytelniczek naszego, drogiego **Pisemka**, a w nagrodę za owę powiastkę otrzymałam śliczny papier listowy. Ty kochana **Akacyjko** masz list od **Poranka** zamiast od **Rosy majowej**, bo pseudonym mój mylnie podano. **Konno** nie jeżdżę, choć latwo zgadnąć, że nie miałabym nic przeciwko temu, żegna was najmilsze, *Poranek majowy*.

Droga biała Myszko! Ponieważ jesteśmy prawie w jednym wieku, i obie mieszkamy na **Podolu** chciałabym z tobą korespondować. Napisz mi czy się zgadzasz i przyjmij serdeczne uściśnienia od szczerze ci życzliwej *Rusalki*.

*) *Gołąbka* za pamięć dziękuje i ścisza nawzajem *Królowę wrózek*. (przyp. red.).